

ŚPIĄCY RYCERZE W TATRACH

- Przypatrz się tylko dobrze Giewontowi, to zobaczysz śpiącego rycerza.

Ale Janek nie widział śpiącego rycerza, choć się dobrze przypatrywał Giewontowi.

- Nie widzę śpiącego rycerza. Powiedz, jak ty go widzisz.

Tata przystanął i pokazywał Jankowi ręką.

- Widzisz, on leży.

- A gdzie ma głowę?

- Widzimy go profilem. Z jego twarzy wyrasta krzyż, a potem szyja, piersi i nogi, spadają lekkim łukiem w dół.

- Już widzę! – wykrzyknął Janek uradowany.

I faktycznie widział profil poważnej, surowej twarzy. Ta twarz urzekała go najbardziej.

- Powiedziałaś, że w Tatrach śpi bardzo wielu rycerzy polskich.

- To jeden z nich. Tamci są inni. Opowiadałem ci o nich wiele razy. Śpią i czekają na chwilę, kiedy będą naszymu narodowi najbardziej potrzebni. Wtedy obudzą się, powstaną.

- Uratują nas.

- Uratują. Choć chciałbym, aby już wstali. Nie rycerze, ale prawdziwi inżynierowie, robotnicy, kierownicy, lekarze, którzy by wyrabiali dobre buty, budowali dobre domy, produkowali dobre maszyny do prania i dobre samochody.

- Pójdziemy, tato, kiedy pod Giewont?

- Tak. Chętnie. Pójdziemy do Doliny Strążyskiej. Nią podchodzi się najbliżej pod Giewont.

I któregoś dnia poszli do tej doliny. Dzień był słoneczny, ale chłodny. Wiatr ciągnął od gór. Szli wzdłuż strumienia, potem przechodzili przez kładki. Czasem spotykali ludzi, którzy tak jak oni wyszli na spacer. Janek najpierw trzymał się blisko ojca, ale w miarę jak płynął czas, coraz bardziej przyciągał go strumień skaczący po kamieniach, małe ptaszki chodzące po pniach drzew – zarówno głową do góry, jak i głową w dół, dziwne ważki, które prawie stały w powietrzu nad wodą, aby potem w mgnieniu oka zniknąć, lecąc dalej. Wstąpili na chwilę do góralskiej chałupy, gdzie sprzedawano herbatę i jajecznicę na kielbasie z chlebem. Tatuś zabrał się chętnie do jedzenia. Janek nie mógł nic jeść. Chociaż tego nie okazywał, był coraz bardziej niespokojny. Nie śmiał już o nic taty pytać, bo wiedział, jaką usłyszy odpowiedź. W którymś momencie odniósł talerz po jajecznicy. Przy blacie było pusto i tylko jakaś piękna gaździnka ubrana po góralsku stała sama podparta pod boki i patrzyła przez okno. Poczł do niej zaufanie i sympatię. Podeszedł i spytał cichutko:

- Proszę pani.

Gaździnka, zapatrzona w stronę gór, nie usłyszała go.

- Proszę pani.

- A, słuchom cię, słuchom. Coz ta fces.?

- Proszę pani, czy pani widziała już kiedyś śpiących rycerzy?

- Spioncych rycerzy – powtórzyła góralka, w pierwszej chwili nie wiedząc, o co chodzi chłopcu.

- Tak, śpiących rycerzy. Raz. Czy pani ich choćby raz widziała?

Góralka już zorientowała się, o co chłopcu chodzi. Uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

- A co ty se myślis.

- Chciałaby pani ich zobaczyć?

Nie odpowiedziała mu na postawione pytanie.

- Ty se myślis, że kuźdy, fto fce, może ik oglądać?

- To nie każdy może zobaczyć śpiących rycerzy?

- Jakby inacy. Trza se na to zasługiwać.

- A jak zasłużyć?

- Cystym sercem. Nie inacy.

Janek wrócił do tatusia, który kończył pić herbatę.

- Coś ty tam tak długo rozmawiał? Herbata twoja chyba już wystygła.

- Pytałem się o śpiących rycerzy.

- I co ci powiedziała?

- Że jeszcze nigdy ich nie widziała. Ale że są ludzie, którzy ich mogą zobaczyć.

- No, toś się dowiedział.

Poszli dalej. A dalej było już południe. Słońce stało wysoko i przygrzewało mocno. Tatuś zaproponował, żeby się położyli w cieniu i trochę pospali, bo to przecież wakacje. Znaleźli kawałek gęstej, miękkiej trawy na skraju małego lasu. Janek położył się obok tatusia, patrzył w niebo, po którym chodziły – jak to tatuś powiedział – kumulusy, które układały się w rozmaite smoki i znikwały za masywem Giewontu. Janek przyglądał mu się i stwierdził, że nie jest on tak daleko, że można by było podejść do niego, znaleźć jakąś jaskinię i wejść do jego wnętrza. To będzie akuratnie tyle, żeby wrócić, gdy tatuś przebudzi się ze snu. „Może mógłbym zobaczyć śpiących rycerzy”. Wstał cichutko, żeby tatusia nie zbudzić, i ruszył w drogę. Śpieszył się, żeby jak najprędzej znaleźć się przy ścianie Giewontu. Mimo to wciąż był on daleki. Zaczął już go podejrzewać, że on się oddala specjalnie. „A może dlatego, że jestem niegodny zobaczenia rycerzy. Może moje serce nie jest czyste”. Właśnie to go najbardziej dręczyło, że nie rozumiał tego słowa. Owszem, jakoś to odczuwał, ale gdyby go ktoś spytał, co to dokładnie znaczy, nie umiałby na to odpowiedzieć. Żałował, że się tatusia wprost o to nie spytał, ale jakoś się wstydził. A tymczasem wciąż nie mógł dobrać do Giewontu. Już myślał, żeby wrócić, że to będzie już w sumie za długo. Ale przecież zdawało mu się, że to już, że byle tylko przejść następny las, byle tylko pokonać to wzniesienie. Żał mu było tej drogi, którą miał za sobą. Tymczasem skończyła się dawno główna, szeroka droga. Najpierw przemieniała się w wąskie ścieżki. Wybierał tę, która wydawała się najszersza, najbardziej uczęszczana i prowadząca w stronę góry. Ale potem i ta się dzieliła, zanikała. Jeszcze łapał jakieś ścieżki, które się nagle pojawiały, aż skończyły się i te. Trzeba było brnąć przez kamienie. Zrobiło się jakoś groźnie. Przedzierał się przez świerki, które chwytały go za włosy, za ubranie, jakby starały się go zatrzymać. To znów nogi grzęzły mu w kosodrzewinie, musiał uważać, żeby nie stracić buta. Tymczasem niebo zasnuło się chmurami, zaczął padać drobny deszcz. Schował się pod gęstym świerkiem, który stał na środku polany i postanowił przeczekać ten deszcz. Usiadł, oparł się o pień drzewa. I prawie tuż zaraz stanął przed nim anioł-nieanioł, dobra wróżka, którą skądś dobrze znał, i nagle stwierdził z radością: przecież to tamta góralka, z którą rozmawiał przed paroma godzinami. Uradowany zapytał ją:

- Skąd się pani tu wzięła?

To powiedział tylko tak, żeby coś powiedzieć, bo naprawdę domyślał się, po co ona przyszła do

niego. Ale ona zwróciła się do niego z tajemniczym uśmiechem:

- Chodź.

Nawet się nie musiał jej pytać dokąd, bo wiedział, że zaprowadzi go do śpiących rycerzy.

Natychmiast znaleźli się przed ścianą Giewontu, trochę inną niż ją widział z daleka – była biała, wypolerowana jak marmur, wyglądała jak fronton ogromnej katedry. Janka przewodniczka weszła w tę ścianę, jakby weszła w ścianę przezroczystą, z wody. Wszedł za nią i znalazł się w ogromnym, ciemnym wnętrzu, którego sklepienie ginęło gdzieś w niebiosach. Światło, które mżyło z góry, oświetlało rycerzy. Spoglądał na nich z zadartą głową. A więc jednak są tacy, jak myślał. Ogromni, na kształt pagórków, siedzieli oparci o tarcze. Zakuci w zbroje, w hełmach stalowych na głowach, z ryngrafami na piersiach. Stał przy nich jak mrówka przy wielbłądach. Ale wciąż mu się wierzyć nie chciało czy te olbrzymy to ludzie, czy też jakieś gigantyczne posągi wykute w skale. Przyglądał im się niedowierzająco aż powiedział do swojej przewodniczki-aniola:

- Czy oni są żywi?

- Chcesz się przekonać? Dotknij ich moją laską.

Janek dopiero teraz zauważył, że ona trzyma w rękach świecącą laskę. Odebrał ją od niej. Zdawała się nic nie ważyć. Delikatnie dotknął buta pierwszego z rycerzy. I nagle ta masa stalowa drgnęła. Janek z przerażeniem patrzył, jak rycerz uniósł znad tarczy głowę i w gigantycznej pieczarze zabrzmiał jego głos:

- Czy już czas?

Ale wtedy wróżka czy anioł w stroju góralki odpowiedziała:

- Śpij. Jeszcze nie czas.

Janek patrzył, wciąż tak samo zdumiony, jak opada głowa rycerza na postawioną pionowo tarczę i jak ta góra żelaza zamiera.

- A więc oni są żywi – powiedział trochę do siebie, trochę do swojej przewodniczki.

I znowu patrzył na ogromne zastępy zakutych w stal rycerzy i zdawało mu się, że mógłby tak na nich patrzeć do końca świata, aż nagle mu się przypomniało, co tatuś powiedział, z czym i on sam się zgadzał. I żał mu się zrobiło tych olbrzymów niepotrzebnych, bezużytecznych, marnujących swoje potężne siły na spanie. Powiedział nieśmiało do swej wróżki-góralki:

- Polska teraz nie tyle potrzebuje rycerzy, którzy by jej bronili, ale dobrych inżynierów, architektów, robotników, kierowników, handlowców, sprzedawczyń, lekarzy, pielęgniarek i już tam nie wiem kogo, po prostu uczciwych ludzi.

Bał się, że jego anioł dobry obrazi się, że może go upomni, że go wyprowadzi za karę z tego cudownego miejsca. Ale ona wcale się tym nie dziwiła i powiedziała spokojnie:

- Chcesz, to możesz to zrobić. Przemień ich. Masz przecież w ręce różdżkę czarodziejską.

- Naprawdę mogę to zrobić?

- Możesz.

Janek, trzymając w rękach tę różdżkę świecącą w mroku, jaki panował tutaj, podszedł wciąż niepewny do pierwszego rycerza i dotknął go. Bał się, że może stać się coś strasznego.

- Bądź dobrym lekarzem – powiedział.

Popatrzył w najwyższym napięciu, co się stanie. I stało się. Ale bezszelestnie. Śpiący rycerz przemienił się w tak samo gigantycznego lekarza, który w fartuchu lekarskim spał oparty o swoją rękę. Janek podszedł uradowany do drugiego.

- Bądź dobrą pielęgniarką.

Już bez niepokoju, ale z ciekawością patrzył, co się stanie. Ale stało się tak, jak sobie zażyczył. Gigantyczny rycerz przemienił się w tak samo wielką jak on pielęgniarzkę w białym kitlu, z czepkiem na głowie, śpiącą z głową opartą o swoją dłoń. Janek już podchodził do następnego rycerza:

- Bądź dobrym robotnikiem budowlanym.

I znowu na jego oczach działał się kolejny cud. A Janek szedł już do następnego i do następnego.

Szedł szybko, biegł prawie, żeby zdążyć, żeby nie wyczerpała się moc czarodziejskiej różdżki, żeby mu starczyło czasu, który może się nagle skończyć. Dotykał różdżką kolejnych rycerzy. Ale wciąż jeszcze przed nim ciągnął się sznur śpiących rycerzy.

- Nie zdążę – powiedział zrozpaczony do swojej przewodniczki.

- To nic. Masz przecież w ręku czarodziejską różdżkę. Możesz powiedzieć ogólnie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Janek wyciągnął wysoko nad głową różdżkę i zawołał:

- Bądźcie dobrymi Polakami.

I patrzył uradowany, jak rycerze przemieniali się w zwyczajnych ludzi.

- A teraz co?

- Możesz ich zbudzić – odpowiedziała góralka-aniół.

- Ale my w Polsce nie potrzebujemy takich wielkich ludzi, ale normalnych.

- Proszę bardzo. Masz w rękach swoich moc na wszystko.

- Mogę ich przemienić w normalnych ludzi i nie śpiących, i mogę ich wysłać do wszystkich miast i wsi Polski?

- Możesz, możesz.

- I nie muszę chodzić oddzielnie do każdego, tylko mogę to zrobić ogólnie?

- Możesz.

- I nie muszę wszystkiego opowiadać, tylko machnąć różdżką?

- Możesz.

- No to: trzy, cztery.

I Janek machnął, patrząc, co będzie. Stał się kolejny cud. W mgnieniu oka te gigantyczne postacie robotników, hutników, kolejarzy rozsypały się i zamieniły się w normalnej wielkości ludzi. Z każdego gigantycznego robotnika robiło się chyba parę tysięcy robotników. Zaludnili tę ogromną jaskinię – ale tylko na moment – bo już wypływali przez ścianę w kraj.

- Mogę zobaczyć?

- Możesz, możesz.

Janek znalazł się na chmurach, które płynęły spokojnie nad ziemią, i zobaczył całą Polskę zaludnioną nowymi ludźmi, którzy wyszli z jaskini śpiących rycerzy. Polskę uśmiechniętą. Zobaczył uśmiechnięte sprzedawczynie w czystych, uporządkowanych sklepach. Uśmiechniętych robotników budowlanych na rusztowaniach pięknych, nowych domów w zieleni. Uśmiechniętych kierowców autobusów w czystych pojazdach, niekopających, jadących po ulicach bez wybojów i dziur, zieloną falą zsynchronizowanych znaków świetlnych. Uśmiechnięte przedszkolanki prowadzące dzieci na wycieczkę do parku.

- Janek! – usłyszał gdzieś z daleka. – Janek! – doszło do niego wyraźnie.

Nagle poczuł, że go ktoś bierze w ręce, całuje po oczach. Zobaczył swojego tatę, który trzymał go w ramionach. Zmęczonego, zdyszanego. Janek rozglądał się, szukając swojej góralki-aniola. Nie

było jej. Ale to nic. Polska będzie już inna.

- Co ty mówisz?

- Obudziłem śpiących rycerzy. Już poszli w Polskę. I od dziś Polska będzie uśmiechnięta.

- Janku, ty jeszcze śniesz, ty jeszcze śniesz.

Ks. MIECZYŚLAW MALIŃSKI

<http://www.malinski.pl/>